

39
A. W. JEDNOTA.

IDEAŁY ZIEMIAŃSKIE,

ZDJĘTE Z NATURY.

I. Tymoteusz Dudakowski z Myszyńska. II. Ignacy Hypnotycki z Czyścina.
III. Bolesław Gapowski z Przydybina.

NAKŁADEM AUTORA.=

GRAFICZNA!

*Sto znanie i festiwal
zmarła i iustantia*

niechcący

Jaśko i iustantia

muzyka

do domu iustantia

z iustantia

Stanisław iustantia

22.7.51

WARSZAWA.

Druk F. Csernaka, Krakowskie-Przedmieście Nr 60.

1901.



39

~~32348~~

~~13417~~

868

Дозволено Цензурою.

Варшава, 5 Сентября 1900 года.

~~13417~~ 868
~~32348~~

Nr inw.

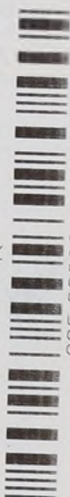
D

Z

U

Biblioteka Miejska w Inowrocławu

R



005-000868-00-0

Author Jednota A.W.

Title Ideaty

Subject ziemianiskie

Włączenia do biblioteki

ty	Nr czytelnika	Data	
		wypoż.	zwrotu

I.

Tymoteusz Dudakowski z Myszyna.

— — — — —
X X

1. Szturm do panny Franciszki. 2. Duduś wintuje. 3. Improwizowane święcone. 4. Szturm do męzatki. 5. Cnotliwość kobieca i męska. 6. Cudza żona. 7. Szturm do cudzej narzeczonej. 8. Duduś pod sądem hetmańskim.

I.

Szturm do panny Franciszki.

Pod znakiem „Panny,” najszcześniejszem godłem na niebie, przybył na świat Tymcio.

W tym szczodrobliwym wyroku fortuny mamusia wróżyła sobie najświetniejszą przyszłość dla swej jedynej męskiej pociechy. Chyba temu przeznaczeniu gwoili, chłopiec od zarania wieku swego dziecięcego czuł niezwalczony pociąg k' podwice.

Do lat dwunastu szedł tak zwanem „wykształceniem domowem” — na opiece bon i guwernantek zostawał, i kto wie, gdyby nie wola ojca, czyby aż do pory ożenku, z poręki mamy, pod pieczę nauczycielek nie trwał.

Ostatnią jego przewodniczką była p. Franciszka, wcale rozsądna i powabna paupienka; jej się Tymcio rozmyślał, choć oczywiście po dzieci memu, lecz już na on czas bies nie drzemał w chłopaku.

Bywało tak niekiedy, że gdy ta mu coś dyktuje, on wrzкомо pisze, a ukradkiem wdziłki jej rozpatruje; i coraz częściej i coraz śmiej i coraz to natrętniej pod powieki jej naglęła, — a kręci, a wierci się na swem siedzeniu, a czasami coś jeńczy, coś mruczy i wzdycha — i żydy na papierze ściele.

Niektórego dzionka wiośnianego słonko jarzący przypiekało, ptactwo po drzewach fruując śpiewało, latały i motyle, a kwiatki błogim balsamem durzyły — gdy nasz Tymcio, zamknięty w pokoiku na górze, siedział z Franciszką przy stoliku — i pisał.

Pisał niby spokojnie, w milczeniu, a wszelako w nerwach tego malca wiosna nie mniej wrzała, pokąd się gwałtowną burzą na dobre nie rozgrzmiała — że pióro mu z rąk wypada, że nie wiele myślący, cały gdy węgiel zarzący, piorunem do łona dziewiczego się ciska, ramiony ją za szyję ściska, a już też całusami nęka, morduje, i że ją kocha, i kochać będzie, wotuje!

Ni prośby, groźby, ani łajania bączka nie wzruszyły, ani go spłoszyły od czaru kwiecia dziewiczego; i gdy pszczoła miodu, pijany płotu, pijawka ciała, a powój tulipana — tak Tymcio, owo Mazowska wierne pacholęcie, a też jątrzył, a ściskał, a cmokał zawzięcie jagódki swej nauczycielki miłutkiej.

Ale że kobieta, gdy zechce, mędrsza jest nad szatany, a roztrośniejsza nad węże, więc za podstępu (jak zwykle!) chwyciła oręż. Już mu się pieścić z sobą nie broni, już go nawet gładzi po kędziorkach i bródce i słodkim szeptem doń rzeczce:

— Kociu Tymeczku! toż ja cię lubię i ty mię lubisz, nieboże; wszak porzuć stokrotko wybryki swej swywoli, bo widzisz, kochanie, mię dziś główka boli.

Na skutek tych skarg osaczonej, chłopcu ręce opadły, serce jego do tyła stajało, że się wraz z krzesłem kawał od niej odsunął i skronie, wstydem spłonię, ku piersi pochylił.

Czując się teraz bezpieczną mistrzyni, nuż łajać, hukać i wygrażać malcowi, że pójdzie nań ze skargą do ojca.

Nie żeby grozą kary, ile zdradą swej bogini tknięty, Tymcio zagroził drogę tej rozjątrzonej cnocie i rzeczce do niej dobitnie, wskazując palcem w okno:

— Co się stało, nie odstanie; trzymaj język za zębami; jeślić idzie o mą karę, to bacz, że albo w tym stawie, lub

na przyległej topoli wykopiesz mi grób. Zresztą co chcesz, rób, — dodał z wyrzutem i wybiegł, bo mu łyzy mowę odjęły.

Prysnął gdzieś w krzaki nieborak, gdzie się zaszył i zapłakał nad niewdzięcznością rodu niewieściego.

Po owym kozackim wystrzale swych uczuć, chłopak przeistoczył się w pilnego ucznia, że egzamin złożył do gimnazjum w Warszawie, gdzie pięć klas przekawęczył, dając za wygraną reszcie. A wróciwszy do domu, rzekł do rodziców:

— Róbcie sobie, co chcecie ze mną, dosyć będzie tej męczarni z książkami; a teraz jedno z dwojga: albo się powieszę—albo ożenię.

— Ani to, ani owo!—zawołał ojciec—wprzód mi musisz Żabikowo ukończyć.

II.

Duduś wintuje.

Od czasu pierwszego wybuchu dynamitowego uczuć Dudusia ku pannie Franciszce, upłynęły już dwie dziesiątki wieku. Ani byś go teraz poznał, co za Herkules zeń wyrósł. Mąż to był miernej figurki, ale krwistej, barczystej, krępak nie lada, cietrzew do podwiki aż bjada. Typ to przeciętnego mazowiaka, więc typu najzdrowszego na świecie; boć mazowiaki długowieczem słyną, są krzepkie, zsiadłe, a żyłaste dębczaki; piersi mają gdy kowadło, płuca—jakoby miechy, a że serce ich poblizu mózgu i wątroby się mieści, więc bez wysiłku pracuje i nie tak się łatwo lotruje, jak u wysokiego osobnika.

Po skończeniu Żabikowa los utrwalił Dudusia na ciechanowskiej ziemi, przykuł go do wodnego, łącznego, lecz jak puder cukrowy piaszczystego folwarku. Tu Tymcio na schwał gospodarował — postępownie, forsownie, boć górki

i pagórki doszczętnie posiewał, nawozami je krzepił, iż do czerwca było bujno i zielono; ale skoro słońce przypażyło, a gdy jeszcze ze żniwem się opóźniło—co było we zwyczaju u Tymcia—to ziarno na piasku zostało, a na wozach słomsko powiewało.

Pod znakiem „panny,” jak się rzekło, zrodzony, Duduś był ciekłym rycerzem omawianego sztandaru, i choć nie z krzemiennego serca swojego, aliści wciąż krzesał iskry uczuć tak dla panien, jako i wdów, tudzież i mężatek. Od końca do końca okolica go znała i nie jedna okolica, boć był na wszystkie sposoby uczynny, choć w tańcu, choć w trunku, niekiedy we wincie, a już chlebem powszednim we flirtunku. Ale ba! a kominiarz to z niego jaki był walny! Toż to najpierwszy apostoł plotek w okolicy, i z tego właśnie względu był, że nie powiem, na rękach, przez płęć piękną noszony.

Niektórego czasu do pewnego dworka szlacheckiego, zanim się goście wszyscy zjechali, siadło już trzech, wcześniej przybyłych, senatorów od winta, do zielonego stolika; zaś Tymcio czwartym był gościem i w rezerwie dam czekał. By zabić czem nudy, naparł się na czwartego do winta.

— Dobrze! — jeden z uczestników gry odrzekł—my cię przyjmimy na czwartego, ale za warunek kładziemy, byś nie fuszerował i choć jednego robra z nami dokończył.

— Zgoda na wszystko—odparł fuszer i już zabiera się do dzieła, gdy siwobrody senator zaprotestował.

— Hola!—zawołał—nie wierzę obietnicom, padaj na kolana i na honor szlachecki przysięgaj, że placu dotrzymasz. Złożył przysięgę.

— I przysięgom nie wierzę — wtrącił czarnooki winciarz. To mówiąc, powstał z miejsca, drzwi zamknął na

klucz, spętał nogi Dudusia i przytroczył je do nóg stolika

Z razu on jeniec przyśrubowany nieźle jakoś wintował, w miarę atoli jak się goście zjeżdżali, puchła mu wątroba z żalu i tęsknoty i o ucieczce już myślał.

Siedział nieborak tyłem do okna, otwartego na ogród, przeciw czarnookiego, któremu sekundował. Już jedną nogę ostrożnie z pęt oswobodził, drugiej zaś zluźnić było nielacno—a tu uciekać mus. bo coraz markotniej na duszy.

Trzebaż, że wskutek roztargnienia, mając tylko osiem pewnych, zagnał swego partnera aż na szlema dużego. Płatka szalona, a toż go zjedzą chyba senatory! Widząc się tedy w położeniu bez wyjścia, pomyślał o ocaleniu. Kiedy więc się nie odsadzi, nie weźmie nóg za pas i nie wstrząśnie stołem gwałtownie do ucieczki sposobiąc: — że aż warsztat przewrócił i wraz winciarzy z krzesłami w zuak poobalał. Zaczem dał susa przez okno do ogrodu, padł na ziemię niezręcznie i wołał wniebogłosy o ratunek, gdyż się potłuk nieco.

Miasto jednak litości czarnooki głowę za okno wychyla zemści uciekiniera słowy:

— Szelmo ty jakaś, daj cię wilcy zjedli, żeś mię tak ładnie wsadził, bo bez trzech na szlema dużego!



Tymczasem „pogotowie” panienek nadbiegło, kołem otoczyło rozbitka, nad jego dolą utyskuje, ręce załamując z rozpacz.

Już go utopiono w puchy, namaszczone plejstrami i wódkami rzeźwiono.

Żal za Dudusiem powarzył serca Mazowianek tkliwych; już lezki ronią i paciorki odmawiają, abyć im tylko żył.

A on jeszcze żyje, a jęczy, a wzdycha, udając filuternie, że gaśnie w nim żywot doczesny. Wreszcie umierając wrzeczmo, tak do dziewic prawi:

— Siostry me w Chrystusiel! Otom jeniec na obliczu waszem, ałem wzgardzony, bo niepoznany. Miałem serce

pocziwe, gorące, gotowość poświęceń bez miary i kresu, dla kogóż atoli? Alboście to mię zrozumiwały? Dobrze tedy, że ginę, bo nie żał mi tego żywota ciernistego. Wszelako niechaj z weselem zamykam powieki; a jakom walczył za was i dla was całe życie, to obecnie po raz ostatni wypiję za wasze zdrowie.

To rzekłszy, wino po kieliszkach rozlewa, a było stare i wytrawne, jako dla chorego.

W smutku i milczeniu dopełniły tego toastu mazowianki, boć nie rozumiwały podstępu filuta, usiłującego rozweselić ich trunkiem.

— A teraz — ciągnął — godzienem, tuszę, me siostrzyce i panie, że na rachunek pamięci o mnie i ten drugi kieliszek spełnicie?

Dobrze już winkiem rozmarzone, panny do salonów wróciły, gdy Tymcio zażywał snu iście mazowieckiego, bo aż szyby w oknach drżały.

* *

W kilka godzin wezwany doktor przybył, obejrzał chorego i zawyrokował, iż o włos byłaby pękła śledziona z żalu Dudusiowi, lecz go wino zbawiło, a nadewszystko energiczne „pogotowie” mazowianek czułych — i miasto opatrunku o klawisze gwoli pociechy uderzył.

Zaczem nie upłynęło minut i dziesiątka, jak pseudo-nieboszczyk zebrał członki zgruchotane i w wirze walca pocwałował w ciżbie.

III.

Improwizowane święcone.

Gdy wieczorem w wielki czwartek samotnie sobie siedział przy piecyku Tymcio Dudakowski, a gorzko też płakał i urzewniał na stan kawalerski — nagle zawitał do niego Anzgary Walenty Jednota, za żebra go objął i zawołał:

— Dudziu, Dudusiu, Duduleczku! jak się masz koleżko mój od szkolnej ławy, twe zdrowie, szczęście i zawód twój kawalerski, jak mi się mają?!

Co widzę, o bogi! ty płaczesz, łzy ocierasz poły? A to k' czemu gwoli, o Tymeczku?

— Jakże ja nie mam płakać i frasować sobie, Waleczku, gdy 37 dni poszcząc i na śledziu żywot pędząc, wydębniałem, jak szczapa, i wyschłem, jak passya; gdy tymczasem na święta wielkanocne nie mam mięsa kawaleczka, ani święconego krzyny!

— Tylko tego płaczesz?! Ano pomogę płakać, społem będzie raźniej, tem ci bardziej, że i ja po to do cię zawitał, by wspólnie z tobą owe święta sprawować.

Czegóż płakać atoli, bracie słowianinie?

Łzy droga zmylna, one nikogo do raju nie doprowadziły. Kupmy się raczej w jednocie, radzie i rozwadze — a nie płaczmy, bo płacz, powtarzam, nikogo nie zbawił.

— Jesteś materyalistą, ateuszem, Walenty! ponieważ nasz żywot ziemski na tym padole płaczu...

— Gruszki na wierzbie, Dudusiu! Daj że ty mi pokój z tymi padolami, łez dolinami i wszelkimi desperacyami. Od Mieczysława, od daty przyjęcia chrześcijaństwa, nie gorzej Włochów i Hiszpanów wciąż tylko rozpaczamy i lamentujemy; pono aż ramiona i rozsądki nam zgnuśniały od tego jednostronnego żywota, włącznie na karb serca i mamusi zuzuli.

Wszak Pismo Święte jawnie głosi: wszystkich „tłustości ziemi” będziesz sobie człeczce wbród zażywał na tym świecie, i wszelkie „wojsko” (żywioly) ziemi na twój nżytek ci dane.

Znaczy to, Dudusiu: buduj koleje, telefony, szpitale, flirtuj, wintuj i trunkuj etc., słowem, gdy żyjesz na ziemi z woli Opatrzności, to żyj po ziemsku, żyj na pociechę własną i swych współbliźnich, nie nienawidź przeto swego bliźniego, a daj mu spokój. W nieszczęściu nie lamentujcie na syngeltona, ale owszem jeden drugiemu pomagajcie.

— Ramię do ramienia, bracie słowianinie, Dudusiu, boć zgoda—a po czesku i mazowiecku *jednota*—buduje i tworzy—a rozgoda rujnuje, niweczy.

Ale co tu prawić o uczuciach społecznych czyli miłości bliźniego, gdy bowiem na punkcie nawet tak prostego i naturalnego uczucia, jakim jest przywiązanie rodzinne, jesteśmy zgola do tyła, zda się, tępi i nieczuli, iż bez sztucznych bodźców wrzкомо nie oplakujemy straty ojca lub matki, lub innych drogich dla nas osób.

To mówiąc, mam ja na myśli obyczaj przywdziewania żałoby na strój po śmierci omawianych osób.

Że kobiety i dzieci, a za przykładem klas oświeconych dziś już i gmin miejski nosi żałobę po nieboszczykach — to mniejsza; ale mężczyzna dojrzały, a zwłaszcza jednocześnie i wykształcony wysoko, że po stracie swych rodziców naszywa sobie białe tasiemki u kłap surduta na znak smutku: tego pojąć trudno, dlaczego to on czyni.

Czyżby był krótkiej pamięci? czyżby przez swą krepę chciał obwieszczać ogółowi znajomych i nieznajomych, że go nieszczęście dotknęło takie, jakie innych jakoby omija?

Tandem nie płaczmy. Tymeczku, a pomyślmy raczej nad tem, jakby to ze śledzia dobrać się do szynki.

U nas na Mazowszu panuje zwyczaj, że pierwsze święto Wielkanocy i Bożego Narodzenia „poświęcamy rodzinie,” to znaczy, że nikt nikogo nie nawiedza, każdy siedzi doma i fatalnie się zanudza. Et, co tu prawić! siadaj, Tymciu, i pisz, ja ci tak podyktuję, że za jednym zamachem i świętować będziemy i stary przesąd zgwałcimy.

Najmilsza Płci Piękna Mławskiej, Płońskiej
i Ciechanowskiej Ziemi!

Jam Wasz brat w Chrystusie — a Wy moje siostrzyczki ewangeliczne.

Przez czterdzieści dni postu suszyłem. a na pierwszy dzień Zmartwychwstania grozi mi nawet zmora głodu — bom kawaler. czyli próżen żony, a z czyjej to przyczyny — uderzcie się w pierś, Panie.

Zaczem pospołu pokutujmy, lub też świętujmy wraz.

P. S. Wierzę w Wasze cnoty chrześcijańskie, wskutek czego ślę do Was wozik, pakami ładowny, które, tuszę, wypełnicie, zacne Panie, szczegółami swych dobrych uczynków w postaci cielęciny, prosięciny, wędliny. wołowiny i indycyny; mniej ciasta, gdyż od okrucichów utuczone, myszy by mię zjadły.

Z czem się Paniom poleca sługa (i uwłaszczony stołu Waszego) Ich dobry, uległy i do śmierci Wam służebny
Tymoteusz Dudakowski.

I stało się, że na switaniu wielkiego płatku czwórka koni ruszyła gwoli kwesty do pięćdziesięciu i dziesięciu dworów!.

A miałyż co konie ciągnąć daleko jeszcze do zachodu słońca i do końca objazdu. Wszystkiego było wbród. Dużo ręce zacierał, a Jednota doń rzecze:

— Dotąd dobrze, lecz nie ładnie; siadaj tedy i pisz do sześciudziesięciu sąsiady tem brzmieniem:

Panowie a Brać ma Dostojna!

Przyjęto na Mazowszu pierwszy dzień Wielkiejnocy w ciżbie rodzinnej sprawować; a ja to, samotnik, gdzież się w ten dzień podzieję? żali mam do Prus wędrować?

Ja chcę ostać z Wami, bom ze krwi, kości i z ducha pocziwy Wasz brat Duduś. Tem ci więcej i tem ci śmielszym cugiem to piszę, iż Wasze pocziwe Białogłównianeczki zrobiły mię niejako uczestnikiem stołu spółnego, bo się składały na święcone dla mnie.

Proszę tedy Brać mą łaskawą nie niechać mych progów i choć u schyłku dnia pierwszego uroczystości podzielić się ze mną jajkiem święconem.

Duszą i sercem Brać swą czekać będę.

Nieodmienny brat Wasz i wykapany Mazowiak

Tymoteusz Dudakowski, administrator Myszyna.

* * *

Sześćdziesięciu sąsiady ziemiany, jak jeden mąż, siadło do godów społecznych. Czasu dania wina hetman Krzykałski powstał, by zdrowie Dudusia wniesć.

Gospodarz się cofa i rzecze:

— Nie mię ten honor winien spotkać, jeno Jednotę, twórcę niniejszego wesela.

— Więc zdrowie Jednoty!—grzmi głos pana Karola.

— Veto, hetmanie! — protestuje Jednota — moje „ja” do kosza, ponieważ prawdziwym gospodarzem jest serce pocziwych Przaśninianek, Mławianek i Ciechanowianek. Niechaj tedy żyją!—wrzasnął z całej mocy Walenty.

— Niechaj żyją!—wtórowało koło.

Zaczem Jednota, do Krzykałskiego pijąc, zapytał:

— Miłościwy hetmanie! *) ongi Starowski narzekał, że lndzi jest gwałt, ale sprawiedliwych omale; a ty co byś też rzekł o jednocie obecnych, o harmonii powszechnej tego dobrowego koła?

— To lubię!—huknął hetman rykiem Jowisza, że się aż ściany budynku zatrzęsły i nurty w Łydyńie spieniły.

*) Honorowy opiekun kandydatów do Hymenu płci obojga.

IV.

Szturm do mężatki.

Celem pokrzepienia swego zdrowia udał się Jednota do wzniosłych, borowych okolic nad Prusy, gdzie w gęstwie kniej żywicznych, jarów piaszczystych i strumieni Działdówki potoczystych, zamieszkał tam na lato szczęśliwie i samotnie, jak żubr w Białowieży.

Ku niemu w odwiedziny przybył Dudakowski i oświadczył na wstępie:

Myśl sobie co chcesz o mnie, Anzgary, ja postanowiłem dziś nieodwoalnie, że albo się utopię—albo się ożenię, albowiem przyjadło mi się już borykać z falami losu na łodzi kawalerskiego żywota.

— Zwolna, Tymeczku, zwolna—odparł Jednota;—w porę do mnie zawitał, istny ty wilczku mazowieckich ostępów. Mamy porę ciepłą, odpustów wiele, więc wszystkie bohdanki okolicy poborowej przejrzymy dość łącno. Bacz atoli, że wszystkie *pobożanki*, a właściwie pobórzanki są z natury krewkie i złośliwe.

I ujrzeni, co chcieli. Wszystkie pobórzanki udały się Tymciowi, co którą zoczył, już by do niej skoczył; a waliłoż mu natenczas serce, waliło!

— Istny tu raj na pobożanach, Jednoto! a ty powiadasz, że tu trupie nudy, że ci duch gaśnie w tem pustkowiu—wołał zachwycony Duduś. Wiesz, Walku, ja szaleję za tą jasnowłosą, niebieskooką niewiastą. Co za figura, postawa, ile niezgłębionej treści w tej niewieście się mieści! Ach, jaka to szkoda, że mężatka! Zresztą — po namysle — alboż mężatka, to już istota stracona, lubo forteca nie do wzięcia?

Wiesz co, tu blisko pruska granica, jakby ją wykraść, co? gdybyś mi pomógł? jak miarkujesz, Jednoto?

Jednota siedział obok niego na bryczce zamyślony; skoro jednak usłyszał propozycję spółki, celem wykradzenia cudzej żony, to kiedy nie parsknie śmiechem i nie zawoła:

— O ty czerepie szalony, co ty bredzisz, Dudo?! Słuchana-li to rzecz na Mazowszu, by mężatkę kto wykradł, matkę dzieciom, kochającą męża i wbrew jej woli?

Po obiedzie gospodarz snadź umyślił jakowąś psotę, gdyż nagle stanął przed gościem, jął się śmiać serdecznie, poklepywać go po ramionach poufnie i prawić:

— Tymciu, przyjacielu! od jutra będziesz znajomy z tą śliczną blondynką.

— Co mówisz! a mąż?

— Czyli mię nie znasz jeszcze, żem facecyonista? Jam żartował z ciebie, to wcale nie mąż, lecz daleki wujaszek. Ona jest panną, sierotą, posiada charakter tkliwy, poetyczny, za wierszami przepada, chce wyjść za mąż tylko za poetę, albo literata. Możesz w towarzystwie z nią być nieskrępowanym; mów do niej szczerze, od serca, co ci ślina do ust pada.

Na wujcia nie zwracaj najmniejszej uwagi, boć to jakiś manjak i skończony kandydat do czubków, wskutek czego mieni ją swoją żoną i nie rad, gdy kto z mężczyzn tam bywa.

Otóż jutro udasz się do swej przyszłej damy serca, w charakterze dajmy na to jakiego turysty; zmień nazwisko, zamilcz o swem pochodzeniu, o znajomości ze mną, i zaraz na wstępie przywitaj ją jakimikolwiek wierszami.

*

Owa mniemana panienka była Żelislawą, małżonką Henryka Gościckiego na Dziurawieńcu i matką trzyletniej córeczki, też Żelislawy.

Do niej to w początkach czerwca zawitał Duduś, podał przez służbę swe nazwisko i oświadczył, że nie z panem (wujaszkiem), lecz z samą panienką chce się widzieć koniecznie

Mąż był w polu, za godzinę miał wrócić.

Gospodyni wchodzi; gość staje i prawi z namaszczeniem Hamletowskiem:

— Albo cię widzę—albo nie? Albow żyw—albow umarły? Z świecka me miano Tymoteusz Żabikowski, z ducha twoim jestem hołdownikiem, powiem uwłaszczonym.

Patrzy nań zdumiona, po chwili siada, jemu miejsce wskazuje i przerywa słowy:

— Któż to panu nadał służebności do mej osoby?

— Kto?! chyba Ten, co w ciebie i we mnie duszę tchnął.

— Ależ panie, jam nie wolna, jam mężatka. To jakaś pomyłka?

— Wolne żarty łaskawa pani, jesteś wolna, jak ptaszyną. a samotna, boś sierota.

To mówiąc, porywa się z miejsca, staje i czyta z kartki:

Porzuć swe smutki, bóle i tęsknicę,
Rozjaśń weselem i szczęściem swe lice,
Boć na czem zbywa na świecie
Młodej a dzielnej kobiecie,
Gdy żyje wśród nas i z nami,
Dobrymi towarzyszami?
Każdy z nas rączy, gorący, ochoczy,
Ledwie mu duch do ciebie z żył nie wyskoczy,
I bylebyś chciała, a odwagę miała,
Każdego, co zechcesz, będziesz posiadała.

Najdroższa! toć w samej rzeczy,
Cóż cię z tęsknicy wyleczy,
Co radość w twą duszę wwieje,
Co w sercu skrzese nadzieję;
Jeśli nie ramię twego przyjaciela,
Jeśli nie zapal twego wielbiciela?
— „Ba, przyjaciela-rzeczysz-ciekawam jaki?”
— Jakiego będziesz zeń chciała—to taki,
Któregoś łzami do siebie wzruszyła
I po przez te łzy z sobą zespoliła.
Tyś go na wieki już oczarowała,
Bezwiednie swój ogień w wnętrze jego wlała,
Odtąd tyś moja, moją tyś na wieki,
Pókąd strzał śmierci nie przyćmi powieki.

* * *

Co pocznę? Nic. Będę żył, gdy będę,
I walczył, pókąd jej nie osiędę,
A osiadę nie przymusem, nie wbrew jej woli.
A znojem, cierpieniem i zasługą powoli.

* * *

Luba! ty co chcesz myśl o mnie, choć kpij, drwij,
Wierz komu li chcesz i w to, co ci każe świat,
A z szyderstw ze mnie choć na zdrowiu se tyj.
Z czasem ty poznasz, że z wielu weźmiesz rozbrat
I do odludka się skłonisz, coś zeń szydziła,
Bo kłamu i obludy zaznasz w świecie siła,
I będziesz nim naprawdę wzruszona,
Gdy z oczu twych opadnie zasłona.

* * *

Tyś mi słońca promieniem
I mojej duszy tchnieniem,
Tyś mych uczuć władczyni;
Przed tobą cześć się chyli.
Ty gwiazdą przewodnią życia mego świecisz,
Toż wszczynasz bóle, ale i rozkosze niecisz.

Bóg z tobą, żyj,
A w szczęściu śnij.

* * *

Lecz jaką walką i zwycięstwem ci grożę?
Ja mam walczyć z tobą? i o co? O Boże!
Dla ciebie walczyć dobrotliwa istoto
Chcę, a nie z tobą — dobrem sercem i cnotą.
Więc wszystkie świata żywioły
Choćcie ze mną walczyć spoly.
Ja będę przy tobie, z tobą przez słońce,
Jego promienie palące, świecące;
I dmuchał zefirkiem w twe lice,
I patrzył z lustrem w twe źrenice;
I serca drgnienie
I piersi tchnienie
Będę liczył, będę słyszał
I twemi stopy kołysał,

Ujrysz mnie śród nocy ciemnicy,
Gdy będzie cicho i glucho,
Zmróz oko, a nadstaw ucho,
To mię spostrzeżesz w tej mgławicy.
To jeszcze mało! A co więcej?
Będę tkwił w twej myśli, pamięci,
Choć gość nieproszony lecz namiętny
I we śnie i na jawie natrętny.
Lecz do serca twego mnie wara,
I chęć ma o to się nie stara;
A choć swoje dręczę i otwieram,
Wszak do twego cale się nie wdzieram,
Bo nie żądzę tobą,
Jeno swą osobą.
Jakież me zasługi
Przez czas tak niedługi?
Skoro się głęboką cześć czuje dla kobiety,
To dla cześci nie we krwi szuka się podniety,
A w uczuciach szlachetnych, w uczuciach podniosłych,
Na gruncie cnotliwym, nie zmysłowym urosłych.

Skończył, usiadł. A już i mąż powraca; ta mu bieży
na spotkanie i oznajmia o wszystkim, co się stało, dodając:

— Czy obłąkany, reporter, może jaka intryga albo zakład? nie rozumiem. Sypie mi komplementy, jest niezwykle słodkim, uprzedzająco grzecznym. Nie wierzy, żeś mi mężem, wujaszkiem cię nazywa.

— Cicho, Żelciu, nie drażnić go, może w istocie jaki chory, po nitce do kłębka dojdziemy.

— Więc mię pan z żoną rozwodzisz?—wchodząc, żartobliwie zauważył Gościcki i rękę podał Tymciowi.

— Drwij pan sobie zdrów, panie wujaszku — mruknął poeta Duduś, — znam ja się dobrze na przewrotności męskiej. Jam gość bezbronny, pokój niosę temu domowi, nie wojnę; jeśli panu koniecznie ta rola męża przypadła do smaku, toż zgoda, zabawmy się w męża, grajmy komedię małżeństwa.

I tak jam intruz, a pan z panią małżonkowie.
Tandem panie mężu wybrany, żali pan tak mocno wierzysz w siłę odkupienia świata przez małżeństwo? Czy zawsze tak bywa, że dla kobiety mąż, a dla mężczyzny żona są już ostatnimi wyrazami szczęścia na ziemi? Wszak bardzo wielu

chciałoby się odżenić, a jeszcze bardziej wielu przydałoby się odmężyć.

Wy tym węzłem bardziej ją, niżli siebie ściskacie. Wolnoż bo wam ją schorzała, dziećmi zamęczoną, na całą noc pozostawić w domu, a sami marsz na trunek, lubo na wintunek, a który to i na flirtunek? Wy nie wiecie, o brać Mazowsza, jaką wy jej przez to sprawiacie męczarnię. I gdy łzami zamglone oko patrzy na was litościwie, szuka pociechy i miłosierdzia waszego, natenczas koicie boleść swych małżonek barbarzyńskim przysłowiem: „kot, pies i żona—te siedzą doma.”

— Więc jaka rada na to, mój godnisto (moralisto)? — pyta Gościcki.

— Jaka? Prosta. Ty sobie wędruj, czuły połowiku, choć na cztery wiatry, ale jej, by się nie nudziła, zostaw jakiego zastępcę, któryby ją rozweselał; zastępcę w rodzaju np. mnie, pocziwego Dudusia, wypróbowanej cnoty męża.

— A jakże, masz rację! byś jej głowę zawracał, byś szczepił zarazę zgnilizny w łonie małżeńskim?

— Co też to wujaszek prawi, dlaboga! — odparł z oburzeniem poeta — przecieżeś ją wziął z pocziwego gniazda, z kopalni cnoty; twa żona będzie do szpiku kości ocnociona, jej obyczajowość, ażali nie Gibraltar? Zaż może kobieta uczciwa zgorszyć mężczyznę? Wierzaj mi, że dobra dobroć sieje dokoła, ona i złego naprawi.

V.

Cnotliwość kobieca i męska.

— O tak zwanej cnotliwości kobiecej posiadamy zazwyczaj niedokładne pojęcia—odparł Gościcki — ponieważ wnioskując o niej, nie bierzemy w rachubę duchowości kobiecej, wielce odmiennej od męskiej.

W określeniu „kobieta cnotliwa” tkwi niejedna zagadka psychologiczna. Pospolicie pod wyrazem „cnotliwa” rozumiemy wstydliva, czyli nie pohopna do rozpusty, a zapominamy o tem, że cynizm i nienasycony popęd płciowy nie są bynajmniej znamionami natury żeńskiej, jak ogół twierdzi, lecz tylko męskiej, jak twierdzić nakazywałyby rzeczywistość.

Rozumiejąc cnotliwość w znaczeniu wyżej rzeczonej wstrzemięźliwości, twierdzą stanowczo, że wszystkie kobiety przychodzą na świat cnotliwe, i takimi do śmierci by zostały, gdyby nie wrodzona niecnota męska, która dybie tylko na to, by aby mózdz jaką niewinną istotę niewieścią przeobrazić na wzór i podobieństwo swej własnej, a tak grzesznej natury.

A zatem „kusi do złego,” to winowajca Adam, a nie niewinna Ewa, jak mylnie twierdzi ogół.

A ponieważ w naturze nic nie ginie, przeto ta grzeszna Magdalena, mszcząc niewinności własnej i ogółu swych bliźnich na ogóle męskim, szerzy zniewieściałość czyli upadek moralny pośród tego ostatniego obozu. O tych Kleopatrach dużo pisze Salomon, a gawronów rodu męskiego, czyli ofiar tych bohaterek rozpusty, zwie wręcz wołmi, dobrowolnie na rzeź pędzącymi.

— Gotów jestem już uwierzyć w to — wtrącił Duduś z akademicką powagą, że szanowny pan jesteś nie urojonym lecz słubnym mężem tej pani, ale za to niepospolicie zazdrośnym, żeć swymi sofizmatami błędnymi wprowadzasz niepotrzebny antagonizm pomiędzy mężczyzną i kobietą, a co więcej, że poniżasz niesprawiedliwie pierwszego, a natomiast wywyższasz nad miarę drugą.

Powiedzże ty mi wszechwiedny wujaszku, czy to słońce, co krąży na uiebie, świeci ono wskutek cnoty, czy też niecnoty? Czy wiesz, że taki filozof, jak św. Augustyn, a i ten niezależnie od pojęcia o dobrem nie był w możności objaśnić pojęcia o złem. Ty zaś głosisz nową ewangelię, powiadając, że mężczyzna pierwszy kusi do złego kobietę, że ta ostatnia przychodzi na świat cnotliwą i t. d.

Co do mnie, to wolę ja obstawać przy Starym Zakonie, który objaśnia tę sprawę jasno i zgodnie z rzeczywistością. A Zakon to głosi: mężczyzna i kobieta nie są sobie wrogami, lecz zgodnymi towarzyszami wspólnej doli życiowej; a że w repertuarze tej ostatniej nie są wykluczone i grzechy— oboje przeto grzeszą. Zaś co się tyczy pokus wrzekomych, to rzecz ma się całkowicie odwrotnie.

Jednota w „Naturze Ludzkiej” utrzymuje, że kobieta mimo wiedzy i woli, a zatem nieświadomie, rzuca czar na mężczyznę, czyli daje hasło bezwiednie, aby ja miłował.

Co zacz ten czar jej i w jakim celu sieci zastawia ta czarodziejka na roztargnionego mężczyznę?

Łatwo cel odgadnąć tej pułapki: jest to ani mniej, ani więcej, tylko symboliczne jabłuszko prababki Ewy, jest to głos natury, czyli oznaka dojrzałości fizycznej, a przeto popis swej zdolności do zawiązania kółka rodzinnego.

Wierzaj mi panie Henryku, że Duduś Mazowska nie zwykł próżnować, żem ja mąż doświadczony żywota, bo nie z jednego pieca chleb jadłem, toż i nie z jednej jabłonki owoc smakowałem. Mogę ci przeto przysiąc bodaj na fuzyę, że najnotliwsza kobieta jeszcze więcej sieje pono pokus czyli czaruje nasze serca od najniecnotliwszej Magdaleny.

Zaś co się tyczy wstydlivosti, to objawy jej są dowodami wyrzutów sumienia, czyli przyznaniem się do grzechu czaru pokusy, wywieranej na niewinność męską. Zwiemy wstydlivóść cnotą chyba dlatego, ponieważ skrucha i przyznanie się do winy połowę winy gładzi (jeżeli prawo natury godzi się zwać winą).

VI.

C u d z a ż o n a .

— Nie przeczę temu—ciągnął Gościcki, — że urok wabia, za pośrednictwem którego kobieta maci głowę i pociąga ku sobie mężczyznę jest znamię jej dojrzałości fizyologicznej czyli objawem praw natury; aliści polowanie na cudzą żonę i burzenie tem samem zgody małżeńskiej, alboż to cnotliwe postęпки?

— To zależy od wielu okoliczności — bąknął Żabikowski.

— Według mnie — prawil Henryk z Dziurawieńca — w większości wypadków amatora cudzej żony postawiłbym na równi z każdym innym amatorem cudzej własności. Więc tego, co zapuszcza swą rękę do cudzej kieszeni po zegarek lub woreczek z pieniędzmi, co nocą wyprowadza ci z pod klncza konia, wołu albo prosiaka—i przyjaciela domu, nadużywającego z jednej strony zaufania męża, a z drugiej kuszającego do wiarołomstwa jego małżonkę, zazwyczaj kobietę rozumu płochego, a wychowania gminnego: obu tych ptaszków, złodziei, powtarzam, okućby w kajdany nalczało.

Nasza atoli opinia publiczna zbyt pobłażliwie rozgrzesza wykroczenia przeciwko VI-mu i IX-mu przykazaniu Bożemu, co więcej karci ona surowo kobietę, natomiast uniewinnia mężczyznę— tego istotnego przestępcę.

Rzymianie zwali męża vir,—cnotę virtus; a siłę vis; trzy te słowa bardzo są pokrewne, jak i przedmioty przez nie oznaczone.

Kobietę zwiemy istotą słabą, czyli nie dosyć silną do walczenia choćby z namiętnościami; zaś mężczyzna, to uosobienie siły i cnoty, to istota, zdolna do walki z namiętnościami, to rzecznik spokoju, zgody i sprawiedliwości.

A zatem, panie Żabikowski, jeżeli prawdą jest, jak rzekłeś na wstępie o sobie, żeś mężem wypróbowanej cnoty, to wytłómacz się przedemną ze swych afektów do mej żony.

— Jak najszczerze, jak najszczerze! — bijąc się w pierś wołał z zapalem napastowany Don-Żuan — jabym pragnął gorąco, żebyś pan, a jeszcze bardziej twa śliczna połowiczka (do niej drżące dłonie wyciąga i słodkie oczy robi) w rzetelność mych uczuć uwierzyła.

— Ależ to moja żona!

— To jeszcze pytanie. A choćby i tak, więc przestaje być kobietą? więc już niezdolna zapłodnić miłością i drugiego serca męskiego krom serca oficjalnego swego wybrańca?

Panu, jako już małżonkowi, nie przystoi rola Drejfuska czyli miłowania drugiej kobiety; mnie zaś, jako kawalerowi, alboż kto zabroni kochać, choćby wszystkie kobiety na świecie?

Ja myślę, że jestem w porządku, że miłując panią, przynoszę zaszczyt jej, sobie i panu zarazem. Jestem bo jego pomocnikiem i zastępcą, należy mi się prędzej wdzięczność, aniżeli niełaska za me poświęcenie dla obojga państwa.

Jednak przyciśnięty do muru. Duduś musiał na stół włożyć to wszystko, co miał na wątróbce; więc wyspiewał skąd jest rodem, że zmienił nazwisko, kto go tu posłał, jaką go treścią naszpikował.

Gy zawadził o Jednotę, Gościcki uderzył w dłonie i wykrzyknął:

— Aha! już jestem w domu. Jakiż to kawalista z tego Jednoty!

I gdy winowajca poczył się bronić, przeproszać, za grzechy żałować i winę składać na Walentego, natenczas gospodarz wybiegł do sąsiedniego pokoju i przyniósł na rękę swą rozkoszną córeczkę, jak aniołka piękną, i oświadczył:

— Daremnie składasz winę na Jednotę; on cię w pole nie wyprowadził, bo oto przed tobą trzyletnia bohaterka Żeliszawa, dziewczica na wydaniu, a ja ojciec wraz z matką tego dziecka przyjmujemy z uznaniem afekta twego serca ku niemu w postaci wierszy przed matką wyłuszczonech.

Bądź co bądź atoli stary bałamucie Dudusiu Mazowsza, musisz mi, jako mężowi obrażonemu, zdać sprawę — wpół se-ryo wpół żartem dorzucił — ze swych zalotów do mej żony.

— Zgoda na zadośćuczynienie, tylko proszę o cierpliwość.

— O cierpliwość? Paradny z ciebie Don-Żuan, kawalerze kochany! przypuszczasz atak do serca mej małżonki i chcesz, bym był zimny jak ryba, bym puszczał płazem twój gwałt?

— Cnotliwy i sprawiedliwy mężu—odrzekł Duduś z powagą—przed chwilą dowodziłeś, że mężczyzna powinien pannaować nad namiętnościami, a mimo to się burzysz, pałając nieuzasadnioną zemstą przeciwko mnie.

— Burzę się, bo cierpię—odparł z udanym gniewem.

— Bagatela. Wszelkie cierpienie jest wyrazem słabości, powiada Tomasz à Kempis, a tyś mężczyzna, więc uosobienie siły.

Co do mnie, to zgodnie z prawem Mojżesza „oko za oko, ząb za ząb” dam ci sprawiedliwe zadośćuczynienie. Otóż ożeń mię wprzód, a gdy to uczynisz, to prawem odwetu przypuść atak do serca mej przyszłej połowicy, a stanie się zadość twej zemście i cnotcie sprawiedliwości.

Żegnaj sprawiedliwy mężu!

VII.

Szturm do cudzej narzeczonej.

Pewnego razu (zda się na jesieni) hiobowe smutki dłażyły Dudusia, ale do takiego stopnia go wzięły, że aż do doktora w mig skoczył o radę.

Doktor pobażał, postukał, posłuchał. receptę skreślił i do apteki na duch skierował.

Od doktora do apteki jeszcze żwawiej pędzi, niby kula armatnia, a po drodze żydy przewraca, sam się dwukrotnie obala i do drzwi szklanych szturmuje, że szyby w nich tłucze.

Z brzękiem i łoskotem do aptekarza przypada i receptę mu podaje.

Z miną znawcy i powagi pan magister przepis czyta kilkakrotnie oczy wyteża, okulary nakłada, pilnie rozpatruje; poczem spojrział z wolna i badawczo na Dudusia: i kiedy nie parsknie śmiechem gwałtownym, a rwącym, że aż flaszki na półkach rzekłbyś do kankana skoczyły.

— Co to za drwiny i śmiechy z interesanta? — mruknął Duduś gniewnie. — Nie mitręż pan czasu, dawaj lekarstwo i mów, czy łyżkami, czy kroplami mam je zażywać?

— Co, żonę? — zdziwiony magister pyta.

— Jakto żonę?! — gniewem spieniony Duduś zawoła. — Daj, co zapisane.

— Ano zapisane, abyś się pan ożenił, a pan do apteki gwoli żony wkracza i woła, by ją łyżkami dawano.

— A bodaj was siarczyste...

Ima receptę, piorunem z apteki wypada, spieszy na kolej do Warszawy z przepisem.

Tam go uhamowano w aptece na Długiej i skierowano na Jasną do kabalarki, by mu wywróżyła co o żonie.

Popędził na Jasną i tu czekał długo, pókąd panny, wdowy, mężatki i separatki wróżb swych nie wystuchały, pókąd mu Sybilla nie oznajmiła, że ma wejść na główną ulicę miasta C.....wa i tam z prawej ręki trzeci sztyld przeczytać.

Stało się, że przez kabałę Duduś poznał „Skład wędlin warsiaski Apolonii Łazankówny.”

Olbrzym to młody, 4 łokciowy, muskulisty, gdy zbój Madej dziewczoja; a chrypla, a tłusta, a w pjach jakaż zamaszysta!

Tędy widują Dudę Mazowsza na często dążącego i do składu przywiązanego, boć w celach filantropijno-gastronomicznych dla konsumentów miasta, miał on tam wielu melioracyj dokonać w sklepie, a to kosztem własnej kieszeni.

Czemu miasto być wdzięcznym, mularz Mruczek, chłop jak niedźwiedź, a narzeczony Apolonii. wcale krzywym okiem patrzył na filantropię Dudusia i gdyby nie pięść dziewczoi, co mu głowę zatkała, do głowy przyszturnęła i za drzwi mularza wypchnęła, mógłby on wiele przykrości uczynić swem grubiaństwem przygodnemu opiekunowi. Boć doszło pono

do tego, że mu Dudzio musiał przypomnieć swój stan, opowiadając.

— Nie zapominaj, Mruczku, z jakiej ja klasy.

— Z tej co i ja, to jest z trzeciej dla niepalących — brzmiała odpowiedź — obadwaśmy przecież jedną klasą wagonu jechali kiedyś do Warszawy, a obadwa też, mój panie, do jednej dziewczki przymierzamy, boć wedle Apolonii harujewa.

VIII.

Dudzio Mazowsza pod sądem hetmańskim.

A teraz, miłościwy hetmanie, jaka rada na Tyncia, a przedewszystkiem żali radzić trzeba?

Co się tyczy Apolonii, jest nadzieja, że się ten węzeł zaszczytny niedługo porwie, bo wrychle ona Mruczkową zostanie. Bądź co bądź trzeba go i za to ukarać.

Ano na wieżę zamku Bony w Ciechanowie choć na dwa dni go posadzić, siatką obwieść dokoła, by do wody nie skoczył i czujne straże nasadzić, by gdzie nie drapnął. Zaś, po skończeniu pokuty wysłać go na hydroterapię do Nałęczowa pod tęgie prysznice, o wysokiem ciśnieniu.

Inna kwestja czyli go żenić, do czego on sam tak często się kwapi. Doistnie, to kwestja afrykańska.

Co po tem, że to stary kawaler, gdy w nim duch warunki, szalony, iście mazowiecki. Tacy osobnicy nigdy się nie starzeją.

Jego ożenić? szkoda hetmanie, dwoista krzywda. Raz żeć nikogo nie zabił, ani spalił, za cóż tedy miałby zostać galernikiem, a byłby nim na pewno, pod pantoflem by jęczał, gdyby się ożenił, a w dodatku z jaką jeszcze nadnarwianką srogą. Nie baczę dobrze, aliści o pułtuszczańkach pono to prawią (a może i o płocczankach), że w intercyzie przedślubnej kładą za warunek sine qua non przyszłemu małżonko-

wi dobrowolne biczowanie za lada jakie wykroczenia przeciwko regułom sakramentu pożycia małżeńskiego.

A powtóre, cóż nam te miłe, milusie mazowianeczki winne, gdybyśmy je osierocili Dudusiem? Bo tacy bawidamkowie—Drejfuskowie miłości, jak Duduś, są akurat taką „solą” dla płci pięknej, jak niegdy apostołowie „dla ziemi,” według orzeczenia Pisma Św.

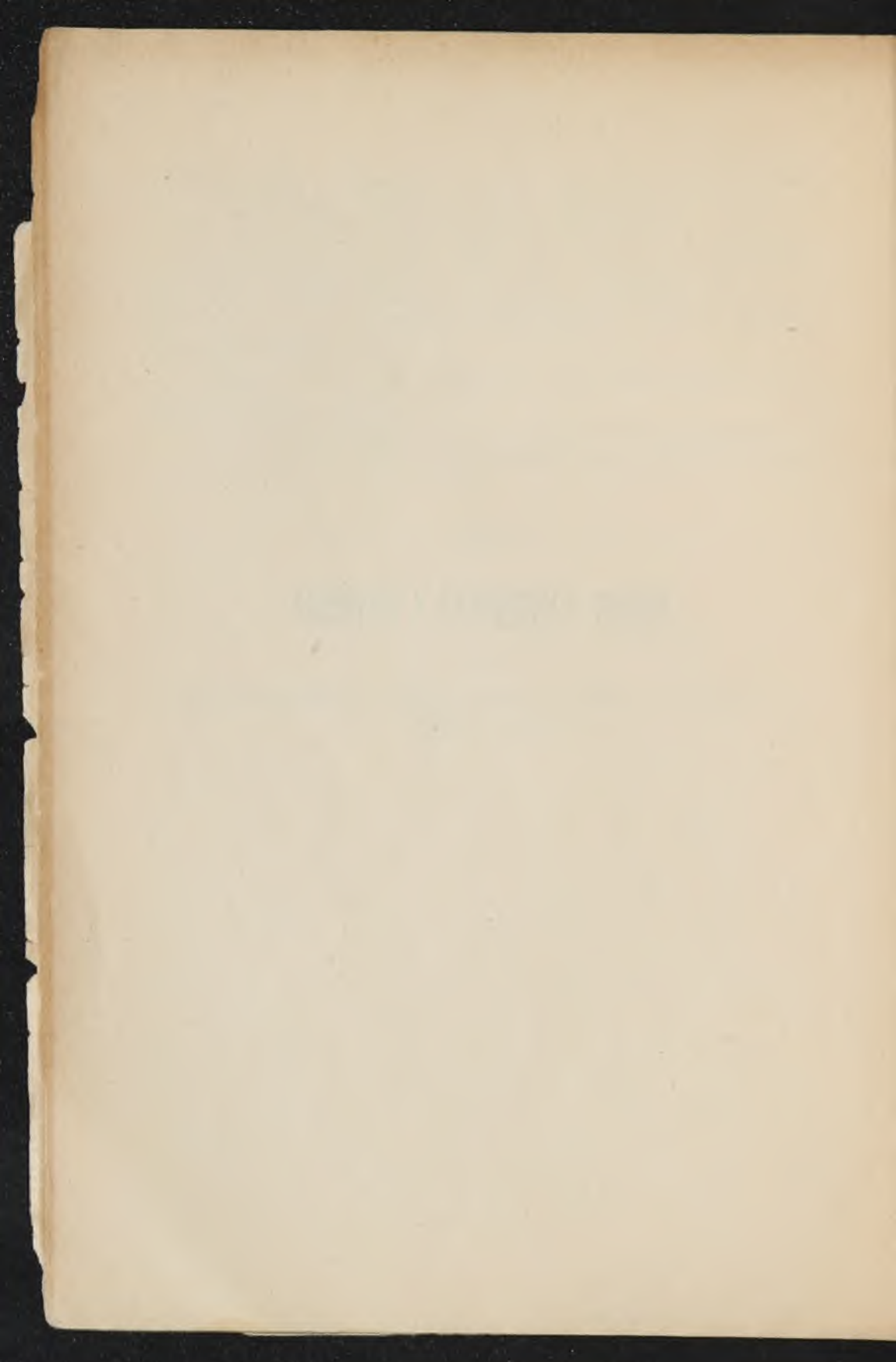
Tandem vivat kawalerski stan! vivat jego dziekan, Duduś Mazowsza z Myszyna!

— Wiwat! huknął rykiem Jowisza hetman Krzykała, aż bory zaszumiały, obłoki się zatrzęsły i nurty Łydyńny spieniły.

II.

Ignacy Hypnotycki z Czyścina.

-
1. Urszulka. 2. Helcia. 3. Wdowa Monika. 4. Odhypnotyzowanie
Hypnotyckiego.



I.

U r s z u l k a.

Ignacy Hypnotycki z Czyścina jaśniej więcej przymioty: człek to więc zacny, pocziwy, nie dalej nosa widzący, nie więcej jak o brzuchu myślący, serca gołębiego, charakteru prawego, wieku już nieco leciwego, gospodarz to starowyny, parafianin zbożny.

A jego niecnoty?

Wzdryga się on trunku, wintunku i flirtunku — primo, i nie zdradza najsłabszej iskry k' Hymenowi (słowem kłapa na tym punkcie!) — sekundo.

Żywot swój wiódł Ignacy, że nie powiem święty Ignacy, według reguły Reja z Nagłowic—spokojnie, łagodnie i błogo, *à la scrupite* à la fale Łydyny, więc zbożnie.

Wszak i na pożytek społeczny żarliwie pracował: szkopy tuczył na jesieni, na karnawał indyki i woły, na Maj konie hodował, a o każdej porze roku kupić mogłeś u niego wieprzka karmnego.

Wąskie koralowe usteczka!.. A jakie słodkie, a ciepłe, a lepkie!.. aj nienasycone! bo gdy cię natrą, toż dopiero muskają, chwytają a ściskają—i nie rade i nie pilno puszczają!..

Takowe usteczka zdobią wdzięki nie jednej mazowianeczki... Słowem, że ta szczelina, do całusów schyłona i onym potulna, nie zdobyła wdzięków twarzy Ignacego, a raczej je szpeciła, bo była u niego zawsze od ucha do ucha na ścieżaj rozwartą, niby u gawrona jakiego. Stąd Płońszczanki, Makowianki a najbardziej Ciechanowianki powiadały to o Hypnotyckim: „Wciąż gorzkie pigułki żywota starokawalerskiego łykając nieboże, musiał w końcu zapaść na niedomykalność szczęk.”

Lecz się myliły białogłóweczki — myliły! — bo Ignas z wczesnego zarania wieku swego żywota już niejednokrotnie kruszył swą kopię o serce niewieście, a jako walczył, zobaczymy.

Ś. p. Urszulka, jego sąsiadka — co to za śliczne, roztropne i wesołe dziewczę! — padła ofiarą jego konkurów.

Przecie, że nie inaczej, a z nudów jej się zmarło; bo gdy ją ję turbować swemi konkurami pół jedenasto letniemi, tej się ekliwo na duszy zrobiło, że schła, w końcu wypędził z niej duszę, że zgasła dziewczeczka.

Gorzkość płakał i narzekał potem beniaminek, ale po niewczasie.

II.

H e l c i a.

Gdy Urszulkę na śmierć zahypnotyzował, to Helcię przespał.

Zalecał się po śmierci pierwszej coś w pół roku do drugiej, także wesołej i hożej, ale trzpiotowatej swywolnicy Helusi.

Ona mu niezgorzej sprzyjała, ale ze względu na to, że był ślimaczo powolnym na jej żarciki i cudaczne psoty. Więc mu po drzewach skałać kazała gwoli pojmania żywego słowi-

ka; sadzić rowy, ujeżdżać niesforne żrebówki pod siodło, innym razem sadzami buzię jego w dyabła ustroiła i z takim murzynem ku ogólnemu pośmiewisku siadła obok i na spacer po przez miasto popędziła.

A lekceważyła sobie Ignasia i z tego powodn, bo miała w rezerwie apostoła drugiego, co gruszek nie zasypiał w popiele, a kochał ją a jęczał, a tęsknił za nią, że bądź — co — bądź jej serduszką dobremu w końcu wzięło się na miłość ku niemu.

Stach krom serca dobrego, imienia poczciwego, chęci jak najgorętszych, a uczuć!... marną jakąś schedzinę w Rypińskim posiadał. Miał przeciwko sobie mamę, wielce Ignasiowi przychylną.

*

*

*

Przydało się wieczorku wiosnianego, a cudnego, oczywiście i księżycowego, gdy słowiki zawzięcie dzwoniły, żabki rechotały, chrabąszcze bączały, gdy rosa błyszczała, a kwiatki zapachem dyszały, gdy opodał strumyk gderał łoskoczący — że Helusia ze swym Stachem w ogródku wczasowali. Na ławeczce społem siedzieli.

Ona wesół, rozmowna, wdzięcznie szczebiotała do niego, a czasami lecz w żarcikach podrwiwała sobie z niego; on zaś był smutny i gdy nurek posępny, od czasu do czasu westchnął ciężko i było mu tak jakoś nie swojo, jakby już jutro miał życie postradać i to z wyroku sądu polowego.

W ciągu tej rozkosznej biesiady, zapytuje swą bogdanekę słowy:

— I pani byś wyszła za Hypnotycznego?

— Czemużby nie? — bez namysłu filutka odrzekła.

— Ba, on bogaty — rzekł rozgoryczony młodzieniec — a ja nie; on ma rodzinę, przyjaciół, za nim świat cały stoi; ja zaś samotny. Sądziłem, w szczęścia upojeniu, że ciebie... ach nie!... Sądziłem... i kochałem, bo do kogóż się przytulę, kogom kochał tak czule?...

Nieborak sobie urzewnia, utyskuje, pierś mu wzdyma
od gorzkości, mróz po członkach przelatuje. Zamilkł z żalu
i bólu, ręce mu opadły, głowa na pierś zwisała i duma.

Milczy i ona, ani się poruszy, owszem jak trusia siedzi
dzieweczka i niby czeka, niby słucha.

Poczytując się już za straconego, bo odepchniętego
wzgardzonego przez swój ideał, Stach wpada w rozpacz,
myśli o rozstaniu i temi słowy ją żegna:

Luba! ty milczysz? tyś dla mnie głucha?
Lecz płomień uczuć, coś go wznieciła
W mej duszy, w jestestwie mego ducha,
Tak wielki, że go tam żadna siła

Nie stłumi; i nic zgoła

Ostudzić go nie zdoła.

Czy mię ztąd radość, a prędeż cierpienie
Spotka na drodze przyszłego żywota,
Jać się nie przeniewierzę, nie odmienię,
Bo mię pokrzepi stałości ochota.

Zresztą ty będziesz spokojna, wesola,

Wdzięczna, hoża, urodziwa,

Uciechą z oczu błyszcząca i z czoła,

Wiotka, zgrabna i ruchliwa;

A zawsze miła i czarująca,

Boś szczerym blaskiem, nie kłamem tchnąca.

* * *

Zostań pieśczęszką szczęścia tego świata,
Zażywaj w nim wbród i szału i rozkoszy,
Spędzaj w błogim wczasie młodości lata,
Niech cię w tym raju żaden zawód nie płoszy!
Tak! to jedna dla świata będzie twa postać;
Lecz druga w pamięci mej musi pozostać.

Ona po dawnemu w mem łonie.

Żyć będzie wciąż, nigdy nie splonie.

Ona potęgą urasta w głąb duszy,

Że jej żadna siła ztamtąd nie ruszy,

Tak, że trwać będzie i nigdy nie zaginie,

Pokąd pamięć w głowie, a krew w żyłach płynie.

O ty ma rozkoszy jedyna,

Żegnaj ty mi żegnaj jedyna!

* * *

Kończąc te słowa, dłonie Helusi uwięził w swe ręce, do ust je przypoił i cichym dźwiękiem do ucha jej szepcze:

— Najdroższa! w ciernistym pochodzie swego sierocego żywota jam nie zaznał, co radość, pociecha, nadzieja, przeszedłem więc twardą szkołę doświadczenia; cierpienie, jak słusznie głosi Ś — ty Paweł Apostoł nauczyło mnie myśleć, a zatem uczyniło mnie pohopnym do poszukiwania prawdy; wskutek czego słowa mej mowy ku tobie, to nie czułości i nie bańki mydlane. Ja pragnę twego spokoju i szczęścia, a nie o wzajemność do ciebie kołaczę. Jeśli twa wola, zaufanie i przekonanie skłonne są ku mnie, to Pana Boga wzięwszy na pomoc, podaj mi za czasem swe ramię.

Co się działo z Helusią natenczas, któż odgadnie, gdy i ona głowę gwoli wzruszenia straciła.

Atoli i ściany mają uszy, a też i niebo żrenice, które płonęły blaskiem księżyca, który ujawniał, jak dziewczę na przemiany to bladło, to gorzało, a skrzętnie powiekami łezki żymało; lecz te naprzekór po licu spływały i dłoń przyjaciela rosily.

Ten cmoktał a cmoktał bez końca i miary jej paluszki pótąd, pókąd Magda zadyszana nie nadbiegła i nie poprosiła państwa do wieczerzy.

• * *

Coś w sześć tygodni po tych oświadczeniach, o śród żniw wpadł jakoś nagle, nieoczekiwany Hypnotycki do Helci, strasznie jakiś spocony, zziązany i opalony i na wstępie oświadcza, że ma do niej pilną sprawę.

Myślał jej się oświadczyć o rękę.

Żeby czasu nie tracić, bo żniwo czas drogi, wraz do stolika obok panny przysiada, usta szeroko otwiera i do oświadczyn się zabiera. Lecz zanim coś rzekł, zamiar swój wyłożył, żrenice mu się wężą, kleją powieki, Morfeusz go pęta i do snu zmorzył.

Co zobaczywszy mama, tak już stanowczo zawyrokowała:

—Już po harapie! ten co śpi, niech sobie chrapie!

Wprawdzie upadł i on wrychle do stóp panienki, ale rozespany, bo się we śnie posztarbnął, upadł z krzesła i miasto kosza guza napytał.

III.

Wdowa Monika.

Ta dobrodziejka Monika, za sprawą Lucypera, była trzeciem bożyszczem Ignacego z Czyścina.

Była matką, obarczoną dzieci kilkorga gromadką z dwu wotów i po dwu nieboszczykach, — kobietą serca krokodylowego, rozumu lisiego, języka jaszczurczego, a zwłaszcza apetytu na męża trzeciego, to już chyba wilczego.

Pierwszy przez nią zwaryował, drugi na serce zachorował, a mdlejąc, gdy wody wołał, tej mu nie dała, na klucz go zamknęła i służby z wodą nie dopuściła. Więc skonał.

Otóż do onej Brunegildy, do tej pociechy rodzaju ludzkiego, do jej przybytku handlowego, raz po coś zapukał Hypnotycki pocziwy.

Czuj duch! wilczyca pomyślała, gdy takiego baranka w swym sklepie ujrzała; wezmę ją go na spytki, w opały!

Trochę literatka, wiedzę czerpała i w miłości bliźniego ćwiczyła się w zakładzie „Dziewic Sakramentek,” z miny feministka, dalejże kokietować, słowy szermować, płakać i wzdychać nad niewdzięcznością rodu adamowego. A kończąc swe długie tyrady drżącym od płaczu głosem pytała Ignacego:

— Powiedz, o powiedz przyjacielu mój czujący i myślący, ażali nie bieda nam, kobietom, na świecie od pocisków plagi waszego egoizmu męskiego?

— Masz pani rację — odpowiedział Hypnotycki czujący i myślący, ale już nieco śpiący, — wam bieda na świecie, moje panie, lecz i mnie nie mniejsza, a zapewne jeżeli nie większa.

— Z czem? zapytała ciekawie.

— Bagatela z czem! a to z tem, łaskawa pani, że mi jakoś krowy raptownie z mlekiem ustały!

I na temat hodowli bydła szła szczegółowa rozprawa, tudzież płynęły skargi rolnika przed emancypantką wdową.

Takowe biesiady niejednokrotnie trwały, albowiem padały do smaku Ignasiowi, i byłby się niezawodnie zaplątał ten rycerz bogomyślny Mazowsza w sieciach tego pajaka, gdyby nie życzliwość Jednoty.

— A na Perkuna! — rzekł raz Walenty do Hypnotycznego — tyś, bracie, w czepku się urodził.

— Albo co?

— Ano to, żeś szczęśliwy, że ci niebo i ziemia zazdroszą tego zaufania, jakieś posiadał u tej zacnej niewiasty.

— Czyż być może?

— Tak jest, doistnie!

— Tuż obok róży kryją się i ciernie, niestety, — z goryczą dodał szczęśnicki, ale bo widzisz ta nadziemska bogdan-ka wymaga nieodwołalnie, abym jej w intercyzie przedślubnej cały swój majątek zapisał.

— Tylko tego żąda? I ty się ociągasz jeszcze? Alboż majątek zabierzesz z sobą do grobu?

Więc zapisz jej folwark swój, zapisz i mój, zapisz folwarki sąsiady.

— Co bredzisz, Walenty? alboż cudzem dobrem rozporządzać można?

— Widać że można, kiedy ona łaknie cudzego, a ty się jeszcze wahasz, dać jej się uwłaszczyć, czy tam ograbić, czy nie dawać.

*

— Ignacy! tyś święty! mało podumawszy, zawołał Angary Jednota; — raz jesteś męczennikiem, żeś się zagnał w starokawalerstwo, a powtóre, że do ciebie wielka liczba żądnych i strapionych osób wzdycha, rzekłbym, jak do orędownika jakiego.

W samej rzeczy. Świętość twojej osoby płynie z dóbr twych doczesnych: z folwarku o nieskazitelnej hypotece, ze

stodół i stert napełnionych snopkami, z lasów brzoźowych, a już osobliwie ze świętej dąbrowy-dębiny!

Niepokalana czystość twego imienia weszła już w przyszłość. Do ciebie, patronie, wzdychają podlotki, dorosłe panny, dziadowie wnucząt, rodzice cór na wydaniu i rozwódki; lecz już nikt tak zawzięcie ciebie nie pożąda, nad wdowy.

Podejrzewać by można, że większość wdów po to uczęszcza na grób nieboszczyka męża i swemi krzykami nie daje mu czasować spokojnie, i po to rozdzierającymi krzyki niepokoi powietrze, by te wiatry daleko i szeroko roznosiły jej skargi i bóle, iżby zwabiły jakiego litościwego gapia, któryby w dalszym ciągu wziął na swe bary ciężar jarzma zgasłego nieboszczyka.

Ona by niemal każda wzdychała przed tobą i rada by jęczała nad swym losem, powiadając, że jest nieszczęśliwa, że już więcej nie wyjdzie za mąż, bo nie znajdzie, jak mniema (obłudnie!), na świecie takiego anioła-przyjaciela, którego już pochowała (a któremu za życia jakże też dokuczała ta Drejfuska!) I ty byś jej, bracie na Czyścinnie, wierzył? wierzyłbyś w jej serce kamienne, Ignalku?

Jako Mazur skończony, wiem, że dużo Wisły popłynie, zanim zdołasz rozkasać lada wybieg niewieści, to też mnie nie dziwno, że cię zdołała w części opętać ta szczywana Monika; ale czy ty wiesz, że i Bolkowa Gąpowska, wdowa na Przydybinie i Rabusinie do ciebie w duszy się modli?

O męczenniku Ignacy Mazowsza! szkoda, że choć cieniem nie jesteś swego patrona, rycerza Lojolo i założyciela zakonu Jezuitów. Wskaż że mi taką, któraby za ciebie nie wyszła. Panny w kusych sukienkach, te trzpiotki-podlotki, gdy już z małą uczą się kokieterii w lusterkach, i gdy je mama pyta, za kogobyś Maniu, Franiu, Tereniu wyszła za mąż? to wiesz, jak odpowiadają? Mamusiu za nikogo! a już jeżeli wyjść, to chyba by tylko za pana Ignacego z Czyścina.

IV.

Odhypnotyzowanie Hypnotycznego.

Po tylu nieudanych próbach i niepogodach swego kawalerskiego żywota, Hypnotycki nieledwie skapcował, gdyż stracił wiarę w siebie i odwagę do nowych zapasów; więc wegetuje na swym Czyścinie, jak żubr w Białowieżskiej kniei.

Do ciebie tedy, miłościwy hetmanie, dalsza piecza jego losu należy. Trzeba by koniecznie obudzić tego lwa rozległych puszczy Mazowsza. Trudna sprawa, bo robota na dwa ganki.

Wprzód wypada upatrzeć jaką mazowiankę, która powzięła mocne postanowienie zostać starą panną. Odwlec ją od tego zamiaru, a najlepiej z tym lwem do niej zajechać. Zaś tego ostatniego trza na gwałt odhypnotyzować w następujący sposób.

Niechaj on władzą hetmańską siedzie choć na tydzień na rekolekcyje do wiadomej wieży zamkowej królowej Bony; poczem go wypuścić na wolność, do Gicfałdu w Prusach na odpust skierować i pojechać z nim do rzekomej adeptki.

Oczywiście, że pierwszy kielich zdrowia po kielichu za nowożeńców spełnimy za zdrowie hetmana Karola.

A więc do dzieła, w Imię Boże! Amen!

III.

Bolesław Gapowski z Przydybina.



1. Herbowiec i dorobkowicze. 2. Wspomnienie pośmiertne.

III

Bolesław Głowacki i Przewodnik

Wydawnictwo i drukarnia „Przewodnik” w Warszawie

I.

Herbowiec i dorobkowicze.

Wielka radość nastąpiła w Kanie Galilejskiej (czytaj w rodzinie Karoliny Rabusinkówny), skoro Opatrzność zesłała do ich domu Bolka Gapowskiego, herbowego szlachcica nadwkrzańskiej ziemi, a potomka drobnej szlachty, zamieszkałej we wsi Gapowie dyecezyi Płockiej — w celu starunku o Karolinę, najstarszą z trzech sióstr Rabusinianek.

Dziewczę urosło w radość i pychę z tych konkurów do tyła, że jeszcze na kwartał przed ślubem rozkazało w kuchni siebie mianować nie już wielmożną panienką, jak dotąd bywało — a jasną panią na Przydybinie, folwarku swego przyszłego męża, który jasnym panem dla tego kazał się parobkom mianować, ponieważ pochodził z miernej bo zagonowej szlachty.

Wprawdzie ten i ów, to i owo zarzucał Bolkowi, ale w uczciwość jego charakteru szlacheckiego nikt zgola nie wątpił.

Praktyczna Karolina tak sobie snąć wyrozumiała, że wyjście za Gapowskiego dla niej będzie wymarzoną karierą, a dla jej rodziny coż to za los, za chwałę! Bo nie chwalebne wieści krążyły po Mazowszu o dorobku mienia jej rodziny.

— Mężusiu, westchnąwszy, rzekła raz Karolcia do Bolcia wkrótce po ślubie, ażali tylko na pieczęci, bramie, chlewkach i powozach mamy bić godła naszego szlachetwa? Czyby się nie zdało również i na 4-ch rogach stolika od kart tudzież na suficie jadalni nasz herb namalować? Jak miarkujesz, Bolciu, kochanie?

Bolko słupkiem spojrział na Karolinki źrenice, trzykrotnie się przeżegnał i odpalił:

— Oszalałaś ty niewiasto, czy co? Albożemto ja syn przemytnika, rataja lub podrzutka od „Dzieciątka Jezus,” bym każdemu świecił swem szlacheństwem? Toż cały świat wie, że herbowy, a więc na coż te dziwactwa? A goście to moi od stolika karcianego lub jadalnego, alboż to służba jaka folwarczna, bym się od nich herbem grodził? Toż oni mnie równi i jak i ja herbowni.

Gdybym cię posłuchał i takiego baka strzelił, mieliby oni wielką szłusznosc nazwać mię dorobkiewiczem, albo idyotą, albo i uciekinierem z czubków; a i dzieciom i wnukom naszym nie przepomniano by nigdy palcami wytykać i szemrać pośród się, że to dzieci idiotów, więc nie lepsi od swych przodków. Znów z drugiej strony i ja każdego z takich gości ze szlachty miałbym prawo osłem zwać, który by znosił obojętnie zniewagę, tak brutalnie i ordynaryjnie jego czci w mym domu wyrządzaną wskutek rzekomych herbów, a który by potem chciał jeszcze bywać w domu idioty Gapowskiego!

Czy pamiętasz Karolino, jakże też ongi szydzono na Mazowszu z tego osła z pod Pruskiej granicy, właściciela gorzelni we Wgęsinach, co to swój herb kazał rysować na etykietce flaszek z gorzałką swego wyrobu?

Dobre byś ty mi buty uszyła, gdybym posłuchał twej rady.

Nie bacząc na wspomniane argumenty, pomysłowa połowica herbiki na suficie jadalni powybijać kazała i złożonych szychów po ścianach drewnianego dworku nalepiła aż tyle, że jej salon gościnny przybrał pozór bardzo wesołego salonu w guście np. bawialni z fortepianowej dzielnicy... Syreniego grodu.

A przełamawszy pierwsze lody, sięgnęła po większe wawrzyny. Otóż kryjomo przeł mężem kazała Karolina wybić sobie herb na klatce chórów kościoła swej parafii, tego miejsca świątyni, które dla odłączenia od gminu przeznaczone było dla kobiet lepszej klasy.

— Czyś ty oszalała?! z gniewem wyrzucał mąż żonie ten potworny wybryk, a toż z nas ogół śmiać się będzie, a szydzić jak z idiotów za ten eksces iście i fiksacki i dobrokiewiczowski! a dopieroż dzieci to dzieci nasze, dopieroż my im śliczną spuściznę zostawimy po sobie!

Zważ powtóre, że siedzisz na chórze nie wśród uwłaszczonych chłopiek lecz wśród równych sobie pań i obywateli herbowych, na coż więc ta arlekinada i ta szopka w przybytku Bożym?

A na to Karolina, zaperzona, odpowie:

— Patrzcie go, jakić mi mędrzec i godnista! (moralista.) Wszak hrabia Krasiński także swą „łożę” w tym kościele na chórach ozdobił swym herbem.

— Ba! hr. Krasiński.. Co wolno i słuszno Jowiszowi, zasię wołowi. Ten kościół prawie że wyłącznie należy do niego, boć ufundowany z jego kieszeni; ja zaś zalim choć rublem się przyłożył do wzniesienia ścian tej świątyni?

Imię Krasińskich jest imieniem historycznem, należy ono tak dobrze do narodu, jak i narodów cywilizowanych; a moje nazwisko Bolesława Gapowskiego na Przydybinie może kiedy zaćmi sławę Napoleona, obecnie atoli figuruje tylko na biletach wizytowych lub na wekslach u żydów.

Każdy naród posiada swą rodową arystokrację taką, która stoi na czele cywilizacji; więc nie taką, która traci miliony na Monaco, na potworne zbytki—ale taką, która, jak Krasińscy, Raczyńscy, Przeddzieccy etc bogaci kraj w kościoły, szpitale, szkoły, biblioteki, pogotowie ratunkowe—która pomyśli o zasileniu skromnych funduszów naukowej instytucji np, akademii umiejętności Jagiellońskiej — więc miłuje swoje społeczeństwo, cywilizację i jest wskutek tego miłowaną przez ogół współziomków i przyszłych pokoleń.

Gdybym ja np. bez zdania racji zawiesił gdzie publicznie swój herb, szłusznie by nazwano mię waryatem. Gdy-

by zaś Krasiński lub inny dobrodziej, fundator czego dobrego dla społeczności, nie oznaczył swego godła lub nazwiska—to by go nazwano lekkomyślnym; albowiem herb jego na murze szpitala lub kościoła nie oznacza tego, że on się herbem popisywał, jak ja, Gapowski, a oznacza to, że on popisuje się ze swą cnotą i stawia takową za wzór dla potomności. Jego herb to opiewa: patrzcie, oto ja, Krasiński, herbu..., postawiłem ten szpital—naśladujcież, mnie bliźni i dobrej woli ludzie!

Wszak i pismo Św. zaleca nie kryć światła pod korcem.

— Tak jest, wtrąciła ironicznie Karolina, a przecież i to zaleca Ewangelia: niech lewa ręka nie wie o tem, co prawa czyni.

— Mnie się zdaje, ciągnął Bolesław, że ogół fałszywie sobie wykląda tendencję tych słów, ztąd owoce miłosierdzia chrześcijańskiego mniej są obfite aniżeli nimi być by mogły w istocie. Bo zważmy. Dwie ręce według mnie są symbolem dwu uczuć, wbrew sobie przeciwnych; prawa ręka np. czyli współczucie nagli nas do udzielenia jałmużny biednemu, a lewa ręka czyli egoizm, powiada, nie dawaj. Otóż jak mi się zdaje, słowa Ewangelii mają na celu rozwinąć w nas uczucie miłosierdzia, nie zaś skrywania się z dobrymi uczynkami, albo też jak inni jeszcze tłumaczą tę skrytość spełnieniem cnoty pokory chrześcijańskiej.

Dla jaśniejszego zrozmienia sprawy, rozbierzmy ją na przykładzie. Pytam się, kto więcej z dwóch daje, czy ten, co bezimiennie przysyła do redakcyi 10 rubli na cel dobroczynny, czyli też ten, co podpisuje swe nazwisko pod 10 rublami?

Pierwszy, oczywiście daje tylko 10, gdy drugi może tylko dziesięć, a może 10×10 , czyli swym przykładem zachęca ogół do naśladownictwa, jeżeli ma szczęśliwą rękę, że drugich 9 ciu, podobnych do siebie filantropów skaptuje. Pierwszy, za te 10 rubli trzykrotnego szczęścia doznaje: że spełnił cnotę miłosierdzia, cnotę pokory i uwolnił się od podejrzenia o pychę przed ogółem; gdy drugi na nic nie dba, nie myśli o zbawieniu własnej duszy gdy daje, ale mu leży na sercu dobro swego bliźniego, który cierpi niedostatek, myśli,

by za całe 10 rubli, bez korzyści dla siebie, tamtemu biedakowi wybawienie od biedy ziemskiej zgotować.

Nie zapominajmy, że czynność analogii i naśladownictwa są podstawowymi czynnikami rozwoju naszego poznania; mózg nasz, jeżeli pracuje, to tylko pełni wciąż te dwie czynności.

Próżność. W sprawie okazania pomocy cierpiącemu bliźniemu, trzeba pamiętać tylko o okazaniu pomocy, a zapomnieć nawet i o tem, że jest nam wrogiem, gdyby i był nim kwestye zaś szczerości, próżności i t. p. stoją na drugim planie.

Uczucie próżności nie jest występkiem, a jest raczej etapem rozwoju moralnego, a więc poniekąd zaletą.

Próżność dla wielu jednostek pozostaje na całe życie głównym bodźcem ich woli i czynów. Jestto płomień wielce żywotny i promieniejący, wskutek czego zagrzewa otaczające jednostki, zaraża je i czyni pohanami do naśladownictwa.

A zatem ze względów praktycznych nie godzi się skrywać światła pod korcem; i nie należało by grać roli iksa algebraicznego, gdy idzie o oczywistą potrzebę wsparcia swego bliźniego. Nie jeden bowiem Piotr, Paweł, Gaweł i Bartłomiej, zachęcony dobrym przykładem Wojciecha, Nikodema lub Antoniego rzecze wobec swojego sumienia: jaż, Paweł, mam być gorszy od Wojciecha? Jako żywo nie! Więc to samo, co i on spełni! I spełni.

A zatem powtarzam jeszcze raz, że ten co daje jawnie, więcej daje, aniżeli ów drugi, co daje bezimiennie.

II.

Wspomnienie pośmiertne.

Nie długo się żyło Bolkowi w sakramencie pożycia z małżonką; zgaśł nagle na paraliż serca w 45 roku wiosny swego żywota, a 8-go roku związku małżeńskiego; zostawił on po

sobie dwoje sierot dzieci oraz czną żonę, wrychle po zgonie męża utuloną w swym udanym żalu przez siąsiada i kawalera Lepę z Lepina.

Byłci on nieoficyalnym kandydatem do jej ręki lecz takim, jak Dawid koicielem Saulowej męki, on był jej odelgą i pociechą na czasy burz i trosk zawodu wdowiego...

Ś. p. Bolesław nie celował ani bystrym rozumem, ani bohaterskim sercem, ale za to utył w pychę, dzięki wielkiemu posagowi swej żony i do tego stopnia pomieślały mu się klepki w głowie, że na prawdę zachorował na manię wielkości rodowej. Wyrazem tego zbzikowania było manifestowanie się wszędzie i na każdym miejscu ze swymi herbami i urojonymi dygnitarzami przodkami.

W kilka miesięcy po jego zgonie takie o nim potworne rzeczy prawiono, że najbliższy sąsiad jego, Stanisław z Chlebina, zwany „marszałkiem,” dla gościnności i brzuszka pokąznego, zmuszony był prostować o nim opinię, słowy:

— Wyście go unikali, a ja, znając jego duszę, oznajmić wam muszę, iż ś. p. Bolko z Przydybina był męczennikiem losu, był smutną ofiarą własnej połowicy, tej niemaszki Karoliny.

Ta cicha woda, owa, z pozoru majestatycznie cnotliwa kokoszka, ona to była jego katem, ona wypila z niego soki żywota, a dziś, mimo obelisku i kwiatków na jego grobie stawianych, ma się rozumieć tylko dla oka ludzkiego, w głębi duszy się cieszy, że jednego pochowała, a o tem tylko marzy, aby drngiego jakiego nieopatrnego gapia na sieci swego podstępku nanizala, by go wprędce znów na tamten świat posłać.

Ś. p. Bolek był to se chłop, jak dąb na oko, ale duszy wiotkiej, jak trzcina. Ciało dębowe tego Herkulesa podtaczał robak ciężkiej choroby, i wskutek braku zdrowia nie dostawało mu hartu woli do tyła, iż ta cicha woda, z pozoru poddanka, w istocie usidliła i podbiła jego mózg dziecinny.

Jakże ona zręcznie przed nim skakała, płakała, klóciła się z nim (i gdyby nie ja, toby go czubiła), pokąd nie zmoęła jego uporu, że już musiał to czynić, co ona mu zleciła.

Zrazu, jak każdy Mazowiak, wrzał, kipiał, jak miętus w sieci się rzucał — ale na próżno!

Ona mu w oczy snopy piorunów ciskała za to jakoby, że latał po świecie na karty, że ją samotną z dziećmi doma zostawiał, a w duszy rada była tym jego wycieczkom, bowiem latarki wysoko u figury wieszala dla Lepy na znak ubytku pierwszego, a przybytku drugiego.

Wskutek swej słabej głowy Bolek fantazyą sztukował zdrowy rozsądek. Najmilszem jego zajęciem było, gdy siadłszy w fotelu zapalił cygaro, puszczał kłęby dymu pod sufit, a jednocześnie marzenia jego o niebieskich migdałach szły w górę; śladem dymu.

I o czem to on nie marzył!

Śniło mu się, a opowiadał sąsiadom za prawdę, że jakiś z jego przodków podawał na tacy koronę królowi polskiemu czasu tegoż koronacyi i to w czasach jeszcze przedchrześcijańskiej Polski, a zapomniał, że koronę duchowni na głowę wkładali i to książętom chrześcijańskim, a nie pogańskim.

Znów opowiadał w dobrej wierze, że drugi z jego przodków, dworzanin z czasów Łokietka, nosił frak czasu tegoż koronacyi i w dowód czego pokazywał frak takowy; ale zapomniał, że naówczas fraków nie znano, a przytem na omawianym fraku wybita była firma jednego ze współczesnych krawców z Miodowej, którą on przeoczył.

Słowem, że manja wielkości na piękne zaćmiła niepoczyzny rozum tego nieszczęsnego Don - Kichota Mazowsza.

* * *

Po skończeniu uwag marszałka, jął głosić nekrolog Oktawian Ówkielto, następującą apostrofą do nieboszczyka:

— Goryczą mam przepełnione swe łono od żalu i litości, jakie wzbudza we mnie twój los; i dlatego mówić będę gorzko, albowiem gorycz jest językiem prawdy.

Twój los jest losem tragedyi! Byłeś snąc kozłem ofiarnym może cudzych, a może po części i własnych grzechów.

Imię i herb twój—pycha!

Co za straszne słowo! toż siostra śmierci, gdyż do upadku zawiodła nie jeden naród.

Tylko ośleń mózgownicy, czyli umysłu tępego jednostki ludzkie są pyszne, to znaczy duch w nich gnuśniej, a zwierzęce popędy górują.

Chciałeś być sławnym, gnuśnej pamięci Gapowski, ale tanim kosztem, bo bez pracy i rzetelnej zasługi; siadłeś tedy na szkapę herbu i wio! deptać po karkach swych współbraci: gardziłeś nimi, gdyż nie tylko, jako gospodarz we własnym domu, ale—o szalona ślepoto!—w przybytku nawet Bożym żądło swej pychy ujawniłeś w postaci manifestowania swego herbiku!

Poszedłeś tedy zdradą przeciwko szlachetnemu kołu rycerskiemu. Zapomniałeś, że kto się wywyższa, temu upadek karą, a największa kara oczekuje zdrajców, czyli Judaszków-Dreifusków.

Gdzie palec Boży, kto mścicielem twej zdrady?

Najbliżsi: żona i dzieci!

Kładłeś wciąż w uszy żonie o swych herbach i rogi takowych rysowałeś aż na suficie; a nadto wywyższałeś on herb i swój ród ponad sąsiady szlachtę. Kaduk cię wie, przez co twój klejnot rogi miałby być sławniejszy od innych klejnotów? Czy nie przez to czasami, że twa domyślna połówica własnym zachodem przydała ku onym rogom większą jeszcze chwałę w postaci rogalików?...

O tę zagadkę wartoby i Lepy zapytać.

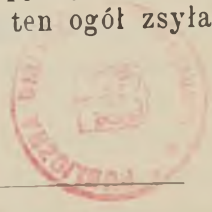
Oto owoce twej pychy!

Spocznij!...

Oby w twej osobie pochowało Mazowsze już ostatniego swego syna, Don-Kichota pychy,—tę plagę i zgorszenie, jako karę Bożą za grzechy na ten ogół zsyłaną.

Co daj Boże!

Amen!



SPIS RZECZY.

I. Tymoteusz Dudakowski z Myszyna	3
I. Szturm do panny Franciszki	5
II. Duduś wintuje	7
III. Improwizowane święcone.	11
IV. Szturm do mężatki	15
V. Cnotliwość kobieca i męska	20
VI. Cudza żona	23
VII. Szturm do cudzej narzeczonej	25
VIII. Duduś pod sądem hetmańskim	27
II. Ignacy Hypnotycki z Czyścina	29
I. Urszulka.	31
II. Helcia	32
III. Wdowa Monika	36
IV. Odhypnotyzowanie Hypnotyckiego	39
III. Bolesław Gapowski z Przydybina	41
I. Herbowiec i dorobkowicze.	43
II. Wspomnienie pośmiertne	47

